

The book cover features a stylized illustration of a man in a dark suit, white shirt, and dark tie. He is wearing a black top hat with a white band. The background is a light blue sky with various green and yellow leaves and branches. The title is written in a black, cursive script across the man's chest.

*Wystarczy
być*

JERZY KOSIŃSKI



1

Była niedziela. Los krążył wolno po ogrodzie, ciągnąc za sobą zielony wąż i uważnie obserwując lejący się z niego strumień wody. Bardzo delikatnie kierował go na każdą roślinę, każdy kwiat, każdą gałąź. Rośliny są jak ludzie; potrzebują miłości, aby żyć, pokonywać choroby i umierać w spokoju.

A jednak różnią się od ludzi. Nie umieją rozmyślać o sobie ani zgłębiać swej istoty; nie istnieje lustro, w którym mogłyby się przejrzeć; wszystko, co robią, robią nieświadomie: rosną mimo woli, a ponieważ nie potrafią rozumować ani marzyć, ich rozwój pozabawiony jest znaczenia.

W ogrodzie, który dzielił od ulicy wysoki, porośnięty bluszczem mur z czerwonej cegły, było przyjemnie i bezpiecznie, i nawet odgłosy przejeżdżających obok aut nie zakłócały panującego w nim

spokoju. Los nie zwracał najmniejszej uwagi na hałasy z ulicy. Choć nigdy nie wychodził poza teren domu i przyległego do niego ogrodu, nie interesował go świat na zewnątrz.

Przednią część domu, w której mieszkał Stary Człowiek, Los traktował tak samo jak mur czy ulicę. Nie wiedział, czy ktoś tam żyje, czy nie. W tylnej części, na parterze, w izbie z oknem na ogród, mieszkała pokojówka. Los zajmował pomieszczenie po przeciwnej stronie holu, z własną łazienką i oddzielnym korytarzem prowadzącym do ogrodu.

Jeśli chodzi o ogród, najbardziej podobało się Losowi to, że zawsze, gdziekolwiek się znajdował, na jednej z wąskich ścieżek czy pośród drzew i krzewów, mógł po nim krążyć, nie zastanawiając się, w którym idzie kierunku, nie wiedząc, czy posuwa się naprzód, czy cofa po swoich dawnych śladach. Liczyło się tylko to, że tak jak rośliny żyje własnym rytmem.

Co pewien czas wyłączał strumień wody, siadał na trawie i pograżał się w zadumie. Wiatr wiejący z różnych stron kołysał liśćmi krzewów i drzew. Miejski kurz osiadał wszędzie, przyciemniając barwy kwiatów, które cierpliwie czekały, aż deszcz je obmyje, a słońce osuszy. Jednakże, nawet w szczytowym momencie swojego rozkwitu, tętniący życiem ogród był jednocześnie cmentarzem. Pod każdym drzewem

i każdym krzakiem tkwiły zgniłe pnie oraz spróchniałe, rozkładające się korzenie. Właściwie trudno było określić, co jest ważniejsze: powierzchnia ogrodu czy jego trzewia, cmentarzysko, z którego wszystko bierze początek i w które na nowo się zapada. Wzdłuż muru, na przykład, rósł w pogardzie dla innych roślin żywopłot; rozrastał się szybko, przytłaczając sobą sąsiadujące kwiaty i wdzierając się na terytorium słabszych krzewów.

Los wrócił do pokoju i włączył telewizor. Ekran tworzył własne światło, własne kolory, własny czas. Nie podlegał prawu ciężenia, które sprawia, że rośliny chylą się ku ziemi. W telewizorze wszystko było splecione, przemieszane, a zarazem uładzone: noc i dzień, rzeczy duże i małe, solidne i kruche, miękkie i szorstkie, ciepłe i zimne, dalekie i bliskie. W kolorowym świecie telewizji ogrodnictwo było dla Losa jak laska dla ślepego.

Zmieniając kanały, zmieniał i siebie. Przechodził przez różne fazy, podobnie jak rośliny w ogrodzie, ale przechodził przez nie tak szybko, jak chciał, tak szybko, jak wciskał przycisk. Zdarzało się, że zmieniając programy, wypełniał sobą cały ekran, tak jak wypełniały go osoby pokazujące się w telewizorze. Manipulując przyciskiem, dokonywał tego, że ludzie jawili się przed jego oczami. Toteż nic dziwnego, że

uwierzył, iż swoje istnienie również zawdzięcza tylko sobie; sobie i nikomu więcej.

Postać, którą zobaczył na ekranie, wyglądała jak jego własne odbicie w lustrze. Chociaż nie potrafił czytać ani pisać, bardziej przypominał mężczyznę w telewizorze, niż się od niego różnił. Nawet głosy mieli podobne.

Wtopił się w ekran. Niczym promień słońca, podmuch świeżego powietrza czy lekki deszczyk, świat spoza ogrodu przeniknął Losa i Los, niby obraz telewizyjny, wypłynął w świat, niesiony siłą, której nie znał i nie widział.

*

Nagle usłyszał skrzypienie otwieranego na górze okna i krzyk grubej pokojówki. Wstał z ociąganiem, ostrożnie zgasił telewizor i wyszedł do ogrodu. Gruba pokojówka wychyliła się z okna na piętrze i wymachiwała rękami. Nie lubił jej. Zamieszkała w domu Starego Człowieka wkrótce po tym, gdy czarnoskóra Louise zachorowała i wróciła na Jamajkę. Była gruba, była cudzoziemką i mówiła z dziwnym akcentem. Nie kryła tego, że nie rozumie słów płynących z telewizora, który oglądała we własnym pokoju. Los słuchał jej trajkotu tylko wówczas, gdy przynosiła mu posiłki i opowiadała, co zjadł Stary

Człowiek oraz co – jej zdaniem – mówił. Teraz wołała, żeby przybiegł czym prędzej.

Ruszył po schodach na górę. Nie miał zaufania do windy, odkąd czarnoskóra Louise przesiedziała uwięziona w niej kilka godzin. Na trzecim piętrze skręcił w długi hol prowadzący do frontowej części domu.

Ostatnim razem, kiedy tu przebywał, niektóre z drzew w ogrodzie, teraz już wysokie i okazałe, były niskie i mizerne. W domu nie było wówczas telewizora. Na widok swojego odbicia w dużym lustrze zawieszonym na ścianie w holu Losowi stanął w pamięci obraz siebie jako małego chłopca, a potem obraz Starego Człowieka siedzącego w ogromnym fotelu. Stary Człowiek miał wtedy siwe włosy oraz suche, pomarszczone ręce. Sapał ciężko i często robił przerwy między słowami na złapanie tchu.

Los wędrował przez pokoje, które wydawały mu się dziwnie puste; grube kotary w oknach ledwo przepuszczały światło. Stopniowo zaczął dostrzegać wielkie meble przykryte starymi pokrowcami oraz zasłonięte lustra. Słowa, którymi Stary Człowiek przemówił do niego po raz pierwszy, wryły mu się w pamięć niczym korzenie w ziemię. Los był sierotą, i to właśnie Stary Człowiek zaopiekował się nim przed wielu laty, udzielając mu schronienia w swoim domu. Matka chłopca zmarła przy porodzie. Nikt,

nawet Stary Człowiek, nie chciał mu powiedzieć, kim był jego ojciec. Wyjaśnił mu tylko, że niektórzy dzieci uczą się pisać i czytać, ale on, Los, nigdy nie posiada tej umiejętności. Nigdy nie zdoła pojąć wszystkiego, o czym inni rozmawiają lub co do niego mówią. Będzie pracował w ogrodzie, dbał o kwiaty, trawy i drzewa, które rosną tam w spokoju. Będzie taki jak one: cichy, pogodny w słońcu, ociężały w deszczu. Na imię otrzyma Los, gdyż los sprawił, że przyszedł na świat. Nie ma żadnej rodziny. Jego matka, chociaż była bardzo ładną kobietą, umysł miała – podobnie jak i on – niesprawny; miękka gleba chłopięcego mózgu, z której wyrastają wszystkie myśli, uległa trwałemu zniszczeniu. Dlatego też nie powinien szukać sobie miejsca w świecie ludzi, którzy żyją poza domem i poza bramą ogrodu. Musi ograniczyć swój świat do pokoju, który jest mu przydzielony, i do ogrodu; nie wolno mu wchodzić do innych pomieszczeń ani wychodzić na ulicę. Posiłki będzie mu zawsze przynosić Louise, jedyna osoba, którą będzie widywał i z którą może rozmawiać. Nikt inny nie ma prawa zaglądać do jego pokoju. Poza chłopcem tylko Stary Człowiek może spacerować po ogrodzie i w nim przesiadywać. Los musi dokładnie wypełniać wszelkie polecenia, w przeciwnym razie, jak oznajmił Stary Człowiek, zostanie wy-

słany do zakładu dla obłąkanych, a tam zamknięty w celi i zapomniany.

Los więc robił to, co mu kazano. Czarnoskóra Louise również.

*

Naciskając klamkę ciężkich, masywnych drzwi, usłyszał skrzekliwy głos pokojówki. Kiedy wszedł do środka, ujrzał pokój dwukrotnie wyższy od pozostałych pomieszczeń. Ściany obudowane były półkami pełnymi książek. Płaskie, skórzane teczki leżały na stole.

Pokojówka krzyczała coś do telefonu. Na widok Losy wskazała ręką łóżko. Zbliżył się do pośłania. Stary Człowiek siedział wsparty o sztywne poduszki i wyglądał tak, jakby z uwagą nasłuchiwał cichego szemrania w rynnie. Ramiona opadały mu bezwładnie, głowa zaś – niczym ciężki owoc na gałęzi – zwiślała w bok. Los popatrzył na twarz Starego Człowieka: miała barwę kredy, górna szczęka zachodziła na dolną wargę i tylko jedno oko było otwarte, tak jak u martwych ptaków, które czasem znajdował w ogrodzie. Pokojówka odłożyła słuchawkę, wyjaśniając, że zadzwoniła do lekarza, który wkrótce tu przybędzie.

Los ponownie zerknął na Starego Człowieka, mruknął pod nosem „do widzenia” i wyszedł. Wrócił do swojego pokoju i włączył telewizor.

2

Nieco później, kiedy wciąż jeszcze oglądał telewizję, z górnych pięter doleciały go odgłosy jakichś zmagają. Wyszedł z pokoju i ukrywając się za dużą rzeźbą stojącą w holu we frontowej części domu, obserwował, jak kilku mężczyzn wynosi ciało Starego Człowieka. Ponieważ Stary Człowiek umarł, Los sądził, że niedługo zjawi się ktoś, kto zadecyduje o tym, co ma się stać z domem, z nową pokojówką oraz z nim samym. W telewizji śmierć zawsze pociągała za sobą przeróżne zmiany, zmiany wprowadzone przez krewnych zmarłego, przedstawicieli banku, prawników, biznesmenów.

Ale dzień minął i nikt się nie pojawił. Los zjadł skromną kolację, obejrzał program rozrywkowy i położył się spać.

Jak zwykle wstał wcześniej rano, wniósł do pokoju tacę, którą pokojówka zostawiła przy drzwiach, zjadł śniadanie i udał się do ogrodu.

Sprawdził, czy ziemia na grządkach jest dość wilgotna, przyjrzał się uważnie kwiatom, usunął parę zeschniętych liści, przyciął kilka gałązek. Wszystko było jak należy. W nocy padał deszcz i rośliny wypuściły sporo świeżych pędów. Usiadł i zdrzemnął się w słońcu.

Dopóki nie patrzy się na ludzi, ludzie nie istnieją. Ukazują się tak jak postacie na ekranie telewizora, dopiero wtedy, gdy człowiek skieruje na nich wzrok. I żyją w jego myślach, aż zastąpi ich nowy obraz. Tak samo działo się z nim, Losem. Patrząc na niego, inni sprawiali, że stawał się wyraźny, otwierał się, wyłaniał; nie będąc widziany, zamazywał się i rozpływał. Może wiele tracił, oglądając ludzi na ekranie telewizora i nie będąc samemu oglądanym? Cieszył się, że teraz, gdy Stary Człowiek nie żyje, zobaczą go osoby, które nigdy dotąd go nie widziały.

*

Na dźwięk telefonu pędem wrócił do pokoju. Męski głos poprosił go, żeby przyszedł do biblioteki.

Los pośpiesznie zrzucił z siebie strój roboczy, ubrał się w jeden z najlepszych garniturów, jakie miał, starannie przyczesał włosy, włożył duże oku-

lary przeciwsłoneczne, które nosił do pracy w ogrodzie, i ruszył na górę. W wąskim, mrocznym pokoju o zastawionych książkami ścianach ujrzał kobietę i mężczyznę. Siedzieli przy dużym biurku, na którym leżały porozkładane różne papiery. Los zatrzymał się na środku pokoju, niepewien, co ma uczynić. Mężczyzna wstał od biurka, postąpił naprzód kilka kroków i wyciągnął rękę.

– Thomas Franklin z firmy prawniczej Hancock, Adams i Colby, która prowadzi sprawy spadkowe zmarłego. A to – rzekł, odwracając się w stronę kobiety – moja asystentka, panna Hayes.

Los potrząsnął wyciągniętą dłonią i spojrzał na kobietę. Uśmiechnęła się.

– Pokojówka powiedziała mi, że mieszka tu mężczyzna zatrudniony w charakterze ogrodnika. – Mówiąc to, Franklin skinął głową w kierunku Losa. – Jednocześnie w żadnych dokumentach z ostatnich czterdziestu lat nie ma najmniejszej wzmianki o jakimkolwiek mężczyźnie zatrudnionym przez zmarłego czy też mieszkającym w jego domu. Czy wolno mi spytać, od ilu dni pan tutaj przebywa?

Zdumiało Losa, że w tak wielu papierach rozłożonych na biurku nigdzie nie figuruje jego imię; przyszło mu do głowy, że może ogród też nigdzie nie jest wspomniany. Po chwili wahania odparł:

– Mieszkam w tym domu, odkąd tylko pamiętam, odkąd byłem małym dzieckiem. Mieszkalem tu, zanim Stary Człowiek złamał nogę w biodrze i zaczął większość czasu spędzać w łóżku, zanim w ogrodzie wyrosły duże krzewy, zanim na trawnikach pojawiły się automatyczne spryskiwacze do roślin, a w pokojach telewizory.

– Co takiego? Twierdzi pan, że mieszka tu od dzieciństwa? Czy wolno mi spytać o pańskie nazwisko?

Los poczuł się zakłopotany. Wiedział, że między nazwiskiem człowieka a jego życiem istnieje ważny związek. Dlatego ludzie w telewizji zawsze mieli dwa nazwiska, jedno własne, używane poza ekranem, oraz drugie, które przybierali za każdym razem, gdy wcielali się w jakąś postać.

– Nazywam się Los – powiedział.

– Pan Los, tak? – upewnił się prawnik.

Los skinął głową.

– Spójrzmy do akt. – Ze stosu na stole podniósł kilka arkuszy. – Mam tu pełen wykaz osób, jakie zmarły kiedykolwiek u siebie zatrudniał. Podobno kiedyś sporządził testament, ale, niestety, nie udało nam się go odnaleźć. Prawdę mówiąc, zmarły zostawił po sobie bardzo niewiele dokumentów. Mamy jednak pełną listę jego pracowników – oznajmił

dobitnie, spoglądając na dokument, który trzymał w dłoni.

Los czekał bez słowa.

– Może pan usiądzie? – zaproponowała panna Hayes.

Przysunął krzesło w stronę biurka i usiadł.

Franklin oparł brodę na rękę.

– Bardzo to dziwne – powiedział, nie podnosząc wzroku znad kartki papieru, którą uważnie studiował – ale pańskie nazwisko nie figuruje w naszych aktach. Według informacji, jakie mamy, nikt o takim nazwisku nie pracował u zmarłego. Panie Los, czy jest pan pewien, całkowicie pewien, że zmarły zatrudnił pana u siebie?

– Pracuję tu od samego początku – oświadczył z głębokim przekonaniem Los. – Całe życie zajmuję się ogrodem na tyłach domu. Odkąd tylko pamiętam. Byłem małym chłopcem, kiedy rozpocząłem pracę. Drzewa były wtedy niskie, żywopłotu też właściwie jeszcze nie było. A teraz ogród...

– Ale w dokumentach – przerwał mu Franklin – nie ma ani słowa o tym, aby jakikolwiek ogrodnik mieszkał tu i pracował. Firma Hancock, Adams i Colby powierzyła nam, to jest mnie i pannie Hayes, uregulowanie wszystkich spraw zmarłego. Posiadamy szczegółową dokumentację. I mogę pana zapewnić,

panie Los, że nigdzie nie ma najmniejszej wzmianki o ogrodniku. Przeciwnie, z dokumentów jasno wynika, że w przeciągu ostatnich czterdziestu lat zmarły nie zatrudniał żadnego mężczyzny. Przepraszam... czy jest pan ogrodnikiem z zawodu?

– Jestem ogrodnikiem. Nikt nie zna tego ogrodu lepiej ode mnie. Mieszkam tu od dziecka i przez cały czas ja jeden troszczę się o ogród. Dawniej zajmował się nim ktoś inny, wysoki, czarnoskóry mężczyzna; kiedy nauczył mnie wszystkiego, kiedy pokazał mi, co mam robić, odszedł i od tej pory pracuję zupełnie sam. Wiele z tych drzew i kwiatów zasadziłem własnoręcznie – stwierdził, wskazując w stronę okna wychodzącego na ogród. – Sprzątam ścieżki, podlewam grządki. Dawniej Stary Człowiek często schodził do ogrodu, siadał z książką, odpoczywał. Ale potem przestał.

Franklin przeszedł od okna do biurka.

– Proszę pana – rzekł – chciałbym panu wierzyć, ale widzi pan, jeśli wszystko, co pan mówi, jest prawdą, to z jakiegoś niezrozumiałego powodu pańska obecność w tym domu oraz fakt zatrudnienia w charakterze ogrodnika nie zostały odnotowane w żadnym z dostępnych nam dokumentów. Niewiele pracowało tu osób – dodał cicho, zwracając się do asystentki. – Zmarły odszedł z firmy w wieku siedemdziesięciu

dwóch lat, ponad ćwierć wieku temu, kiedy złamane biodro przykuło go do łóżka. Ale pomimo zaawansowanego wieku do końca czuwał nad swoimi sprawami i każdą osobę, którą zatrudniał, zgłaszał do nas; to my wypłacaliśmy jej pensję, załatwiali ubezpieczenie i tak dalej. Z naszych akt wynika, że po odejściu panny Louise przyjął do pracy jedną „zagraniczną” pokojówkę, i nikogo więcej.

– Znam starą Louise. Ona może poświadczyć, że od dawna mieszkam w tym domu i pracuję w ogrodzie. Louise była tu, odkąd pamiętam, odkąd miałem kilka lat. Codziennie przynosiła mi posiłki do pokoju, a od czasu do czasu siadywała ze mną w ogrodzie.

– Louise umarła, proszę pana – przerwał mu Franklin.

– Nie, ona pojechała na Jamajkę.

– Tak, ale niedawno zachorowała i umarła – wyjaśniła panna Hayes.

– Nie wiedziałem o tym – powiedział cicho Los.

– W każdym razie – ciągnął Franklin – wszystkie zatrudnione tu osoby zawsze regularnie otrzymywały pensje; a ponieważ zajmowała się tym nasza firma, dysponujemy pełną dokumentacją.

– Nie znałem innych osób, które tu pracowały. Kiedy nie pielęgnowałem ogrodu, przebywałem u siebie w pokoju.

– Chciałbym panu wierzyć, panie Los, jednakże w naszych aktach nie ma najmniejszej wzmianki o pana obecności w tym domu. Nowa pokojówka nie umie określić, od jak dawna pan tu mieszka. Jak powiedziałem, nasza firma jest w posiadaniu pełnej dokumentacji, mamy wszystkie czeki i kwity ubezpieczeniowe z ostatnich pięćdziesięciu lat. – Uśmiechnął się. – W czasie gdy zmarły był współnikiem w firmie, niektórych z nas jeszcze nie było na świecie, a inni dopiero raczkowali.

Panna Hayes roześmiała się. Los nie rozumiał, dlaczego jej tak wesoło.

– Proszę pana – Franklin znów powrócił do sprawy dokumentów – czy przypomina pan sobie, aby w czasie pobytu w tym domu podpisywał pan cokolwiek?

– Nic nie podpisywałem.

– A w jako sposób panu płacono? W gotówce?

– Nigdy nie dawano mi pieniędzy. Dostawałem posiłki, bardzo smaczne posiłki; mogłem jeść, ile chciałem. Miałem własny pokój, z łazienką i oknem wychodzącym na ogród; wstawiono też nowe drzwi prowadzące do ogrodu. Otrzymałem radio, a po pewnym czasie telewizor, duży, kolorowy, z pilotem i zegarem, którego sygnał budzi mnie rano...

– Tak, wiem, o jakim pan mówi.

– Wolno mi było chodzić na strych i brać stamtąd garnitury Starego Człowieka. Leżą na mnie idealnie, o, proszę – rzekł, wskazując na ten, który miał na sobie. – Mogłem również nosić jego płaszcze i buty, chociaż te trochę piją mnie w nogi, i koszule, chociaż są trochę za ciasne pod szyją, i krawaty, i...

– Tak, rozumiem.

– Zdumiewające! – zawołała panna Hayes. – Jest pan tak modnie ubrany...

Los uśmiechnął się do niej.

– To nie do wiary, jak bardzo dzisiejsza moda męska przypomina tę z lat dwudziestych – dodała.

– Ładnie, ładnie! – powiedział Franklin, siląc się na wesołość. – Czyżbyś dawała mi do zrozumienia, że moje garnitury wyszły z mody? – I ponownie zwracając się do Losa, spytał: – A więc nie sporządzono żadnej umowy o pracę?

– O ile wiem, to nie.

– I zmarły nigdy nie obiecywał panu żadnej zapłaty ani nic w tym rodzaju?

– Nie. Nikt mi nic nie obiecywał. Rzadko widywałem Starego Człowieka. Przestał schodzić do ogrodu, zanim posadziłem te krzewy po lewej stronie ścieżki, które teraz sięgają mi już do ramion. Siedziałem je w czasach, kiedy nie było telewizora, tylko radio. Pamiętam, jak pracując w ogrodzie, słuchałem

radia, a Louise schodziła na dół i mówiła, żebym je ściszył, bo Stary Człowiek śpi. Już wtedy był bardzo stary i schorowany.

Franklin nagle poderwał się z miejsca.

– Panie Los, wydaje mi się, że bardzo uprosiłoby sprawę, gdyby pokazał nam pan jakiś dokument zawierający pański adres. Może to być książeczka czekowa, prawo jazdy, karta ubezpieczeniowa...

– Nie mam nic takiego.

– Proszę pana, chodzi mi o cokolwiek, na czym widniałoby pańskie nazwisko, wiek i adres.

Los milczał.

– Może świadectwo urodzenia? – podsunęła życzliwie panna Hayes.

– Nie mam żadnych dokumentów.

– Potrzebny jest nam dowód, że mieszka pan w tym domu – oznajmił stanowczo prawnik.

– Ale macie mnie, jestem tu na miejscu. Czyż to nie wystarczający dowód?

– Czy kiedykolwiek był pan chory, to znaczy, czy leżał pan w szpitalu albo zasięgał porady lekarskiej? Proszę zrozumieć – ciągnął beznamiętnie Franklin – potrzebujemy jakiegoś dowodu na piśmie, że mieszkał pan i pracował pod tym adresem.

– Nigdy nie chorowałem. Nigdy.

Franklin zauważył podziw w oczach panny Hayes.

– No dobrze. A jak się nazywa pański dentysta?
– Nigdy nie byłem ani u lekarza, ani u dentysty.
Nie opuszczałem tego domu i nikt mnie nigdy nie odwiedzał. Louise czasami wychodziła na miasto, ale ja nie.

– Panie Los, będę z panem szczery – powiedział znużonym głosem Franklin. – Nie posiadamy żadnego dowodu na to, że pan tu naprawdę mieszkał, że otrzymywał pensję, że miał opłacone ubezpieczenie... – Nagle urwał. – A podatki, czy płacił pan podatki?

– Nie.
– A czy służył pan w wojsku?
– Nie. Oglądałem wojsko w telewizji.
– Czy jest pan może spokrewniony ze zmarłym?
– Nie, nie jestem.
– Przyjmując, że mówi pan prawdę, chciałbym wiedzieć, czy zamierza pan rościć pretensje do spadku?

Los nie rozumiał, o co prawnikowi chodzi.
– Nie mam pretensji – wyjaśnił ostrożnie. – Jest mi tu dobrze. Lubię ten ogród. Spryskiwacze są jeszcze całkiem nowe.

– Proszę mi powiedzieć... – wtrąciła się do rozmowy panna Hayes; wyprostowała się na krześle i odrzuciła w tył głowę. – Jakie ma pan plany na przyszłość? Czy znalazł pan już inną pracę?